

## 7. AMBITNE PÓŁPERYFERIA

Każdy kryzys i każda korzystna okoliczność wymagają dziś od państwa dwóch rzeczy: sprawnych instytucji i odpornej na manipulację, w miarę dobrze poinformowanej opinii publicznej. W obu tych kwestiach nasza sytuacja jest nie do pozazdroszczenia. Instytucje sprawdzają się w rutynowych działaniach, ale z nowymi problemami sobie nie radzą. Opinia publiczna jest zdezorientowana propagandą i coraz poważniejszymi oskarżeniami rzucanymi w debacie publicznej. Towarzyszące temu emocje sprawiają, że jest bardziej podatna na manipulacje niż kiedykolwiek wcześniej.

Co więcej, opinia publiczna jest podzielona na dwa odseparowane od siebie obiegi informacyjne. Główne telewizje informacyjne przedstawiają tak odmienne rzeczywistości, iż można mieć wrażenie, że chodzi o dwa różne kraje. Ba, dwa różne światy. Są w Polsce ludzie, którzy szczerze martwią się ingerencją Brukseli w wewnętrzne sprawy kraju, i tacy, którym sen z powiek spędza budowa państwa autorytarnego na wzór putinowskiej Rosji.

Stan retorycznej wojny domowej, budowanej na lękach wprowadzanego w błąd społeczeństwa, jest dziś równie

poważnym zagrożeniem jak wojna między służbami specjalnymi, tolerowanie korupcji czy lekceważenie zagrożeń terrorystycznych. Dlaczego? Po pierwsze, czyni Polskę bardzo podatną na wojnę informacyjną i manipulację i tak już rozhuśtanymi emocjami. Po drugie, angażuje niemal całą elitę polityczną do kompletnie jałowych polemik prowadzonych w oderwaniu od rzeczywistych problemów. Po trzecie, grozi przejściem w fazę nieplanowanego przez kogokolwiek i niekontrolowanego konfliktu z użyciem przemocy.

To wszystko dzieje się w warunkach, w których nie dysponujemy żadnymi silnymi instytucjami, które mogłyby się podjąć arbitrażu, gdy brakuje – o czym pisałem wyżej – ośrodków, gdzie mogłyby się rozwijać swego rodzaju „elity percepcji”, czyli grupy osób, których zadaniem jest rozumienie kraju i świata i przekładanie tego obrazu na projekty polityki. Polskie uczelnie nie prowadzą – z wyjątkiem kilku niewielkich ośrodków – systematycznej pracy nad diagnozą stanu państwa. Think tanki dysponują skromnymi środkami i są uzależnione od polityki lub lobby. Większość mediów zredukowała wydatki na poważne diagnozowanie rzeczywistości – choćby utrzymywanie korespondentów zagranicznych – i radykalnie uproszczyła przekaz.

W wielu istotnych momentach zabrakło instytucji publicznych zdolnych do chłodnej oceny takich projektów, jak powszechna prywatyzacja, otwarte fundusze emerytalne, reforma gimnazjalna czy reforma administracji publicznej. Ekipy rządowe poruszały się po omacku, nie mając rozpisanych hipotez dotyczących możliwych skutków

wprowadzanych zmian. Właśnie ta ograniczona percepcja jest jednym z najważniejszych wyznaczników naszego półperyferyjnego statusu.

## UKRYTY STATUS

Mimo że ekipy polityczne zwykle próbują go przed nami ukryć, najpełniej potwierdzają nasz półperyferyjny status wtedy, gdy z entuzjazmem przyjmują grzecznościowe słowa wypowiedane przez zagranicznych gości. Nie dotyczy to tylko wizyty w Polsce prezydenta Donalda Trumpa, bo PO i Bronisław Komorowski z równym zachwytem reagovali na pochwały wypowiedane przez Baracka Obamę. „Jak można być krytycznym wobec przemian w Polsce, skoro nawet sam prezydent Stanów Zjednoczonych jest odmiennego zdania?”, brzmiała najbardziej groteskowa obrona tezy o wyróżniającej się pozycji Polski w Europie.

Tymczasem właśnie pozycja międzynarodowa, wyrażona przez pojęcie „półperyferii”, jest jedną z ważnych przesłanek całego naszego myślenia o sobie. Nie jako kompleks, lecz zimna kalkulacja, wyciągnięcie wniosku z tego, że nie mamy polskich firm odgrywających globalną rolę, że nie liczymy się jako potęga militarna, że nie przeznaczamy znaczących środków na politykę zagraniczną i wzmacnianie naszej pozycji w świecie, nie dyktujemy innym warunków współpracy gospodarczej.

By sprawę ująć w bardziej obiektywny sposób: status półperyferyjny jest terminem występującym w teorii systemu światowego, zbudowanej przez Immanuela

M. Wallersteina\* i odnosi się do krajów, które w różnych kontekstach zachowują się bądź jako klasyczne peryferie, bądź jako kraje należące w zasadzie do centrum. W naszym przypadku owa peryferyjność została w istotny sposób ograniczona przez wejście do Unii Europejskiej i udział w mechanizmach decyzyjnych tego gremium państw. Nie pozwoliło nam to jednak automatycznie stać się krajem należącym do „centrum”.

Ciekawą diagnozę postawy elit wobec polskiej peryferyjności przedstawił Tomasz Zarycki, twierdząc, że opór przed używaniem tego pojęcia wiąże się „z przekonaniem, iż mówienie o Polsce jako o peryferiach jest szkodliwe dla bardzo różnie definiowanych polskich interesów. Usłyszeć można w takich uzasadnieniach m.in. to, że odwoływanie się do własnej peryferyjności pogłębia polskie kompleksy i prowadzi do osłabienia energii społecznej, która powinna być ukierunkowana na integrację Polski z europejskim centrum”\*\*. Autor przekonuje tymczasem, że „trafne rozpoznanie własnej peryferyjności, podrzędności lub zależności w różnych wymiarach lub zakresach nie musi automatycznie przekładać się na pogłębianie kompleksów niższości albo obniżenie poziomu aspiracji”\*\*\*. Podaje przy tym przykład krajów nordyckich, polegający jego zdaniem między innymi „na trafnym rozpoznaniu natury własnej

\* Immanuel M. Wallerstein, *The Modern World-System*, Academic Press, New York 1974.

\*\* Tomasz Zarycki, *Peryferie. Nowe ujęcia zależności centro-peryferyjnych*, Wydawnictwo Naukowe Scholar, Warszawa 2009, s. 23.

\*\*\* Tamże, s. 25.

peryferyjności i dopasowaniu do niej rozwiązań w sferze polityki gospodarczej, naukowej i społecznej”<sup>\*</sup>.

Poczucie bycia krajem małym lub peryferyjnym nie jest zatem kwestią kompleksów. Warto zacytować choćby przywoływane często w odniesieniu do państw naszego regionu słowa Milana Kundery, który pisał, iż „mały naród to taki, którego istnienie może zostać w każdej chwili zakwestionowane, który może zniknąć i o tym wie. Francuzi, Rosjanie czy Anglicy nie stawiają sobie pytania, czy ich naród przetrwa. Ich hymny mówią o wielkości i wieczności. Natomiast polski hymn zaczyna się słowami «Jeszcze Polska nie zginęła»”<sup>\*\*</sup>.

Doświadczenie utraty i braku własnego państwa w okresie kluczowym dla formowania się narodów politycznych obejmujących wszystkie warstwy społeczne stało się w sposób naturalny jedną z podstaw naszej samoświadomości. Wzmocniło się w ciągu trwającej pół wieku upokarzającej zależności od ZSRR, a do jakiegoś stopnia pogłębiło jeszcze przez wzorce kulturowe i koncepcję nauczania historii. Znakomitym opisem owej – niepozabawionej elementu autodestrukcji – niepewności jest wydana niedawno książka Adama Leszczyńskiego *No dno po prostu jest Polska*<sup>\*\*\*</sup>. Dość powiedzieć, że w nową epokę niepodległego państwa wchodziliśmy krokiem chwiejnym, z niejasnymi kalkulacjami własnej siły.

\* Tamże.

\*\* Milan Kundera, *Zachód porwany albo tragedia Europy Środkowej*, „Zeszyty Literackie” 1984, nr 5, s. 24–25, [za:] Alain Finkielkraut, *Niewdzięczność. Rozmowa o naszych czasach*, rozmawiał Antoine Robitaille, przeł. Sławomir Królak, Wydawnictwo Sic!, Warszawa 2005, s. 13–14.

\*\*\* Adam Leszczyński, *No dno po prostu jest Polska*, Wydawnictwo W.A.B., Warszawa 2017.

Wpływowy polski dyplomata Przemysław Grudziński w *Inteligentnym państwie* proponował, by posługiwać się raczej pojęciem „państwa średniego” nie w sensie rozmiaru, lecz roli odgrywanej w systemie międzynarodowym. Miałyby to być rola inteligentnego pośrednika między wielkimi centrami polityki światowej a krajami naszego regionu. Pisał to w 2008 roku, krótko po pomarańczowej rewolucji, a przed wizytą Lecha Kaczyńskiego w ogarniętej wojną Gruzji. Zdaniem Grudzińskiego, „bezpieczeństwo i pomyślność Polski zależy przede wszystkim od roli i funkcji, którą pełni w systemie, a nie od naszych snów o potęgę”<sup>\*</sup>.

Grudziński ostrzega jednak, że „średnim państwem się nie jest, średnim państwem się bywa, (...) średnie państwo może funkcjonować jako średnie lub małe; nie jest w stanie odgrywać roli mocarstwa”. Różnica między państwem małym i średnim jest zatem przede wszystkim kwestią okoliczności, na które nie ma ono decydującego wpływu.

Pojęcie średniego państwa ma więc sens przede wszystkim jako opis aspiracji państwa małego, jako pewna wytyczna jego międzynarodowej aktywności. Wytyczna podzielana w zasadzie przez większość polskich rządów próbujących wzmacniać pozycję Polski przez budowanie jakichś lokalnych układów odniesienia. Koncepcja Międzymorza, pomysły na obecność Polski w rozwiązywaniu kryzysu ukraińskiego to, jak się wydaje, różne warianty tej samej logiki postrzegania źródeł naszego znaczenia międzynarodowego.

<sup>\*</sup> Przemysław Grudziński, *Inteligentne państwo. Polska w poszukiwaniu międzynarodowej roli*, Wydawnictwo Adam Marszałek, Toruń 2008, s. 15–16.

Nie kwestionując tu poszczególnych działań dyplomacji, sądzę, że warto podważyć tę wizję wzmacniania pozycji Polski.

Po pierwsze dlatego, że jest ona – jak pokazuje długie już doświadczenie – w zasadzie bezowocna jako źródło gwarancji na wypadek poważnych problemów naszego kraju. Po drugie, dlatego, że lekceważy dwie kluczowe przesłanki siły naszego państwa, jakimi są jego potencjał ekonomiczny i polityczny oraz pozycja w Unii Europejskiej i NATO. Nasza rola w przypadku kryzysu ukraińskiego była ważna o tyle, o ile potrafiliśmy wpłynąć na solidarną politykę państw Unii wobec Rosji i popieranej przez nią ekipy, a nie w przemówieniach na kijowskim Majdanie czy akcjach palenia świeczek w oknie. Te ładne gesty mogą być elementem dyplomacji społecznej uprawianej przez fundacje, stowarzyszenia i zaangażowanych w pomoc Ukrainie polityków. Państwo jednak musi być stać na coś więcej – nie w wymiarze militarnym, ale przede wszystkim ekonomicznym i politycznym.

Siły tej nie sposób mierzyć w kategoriach abstrakcyjnych, zwłaszcza ocenianego przez własnych komentatorów prestiżu, czy też dających się wykorzystać przez rządową propagandę rankingach i innych dowodach uznania. Militarna i wywiadowcza potęga Izraela jest pochodną jego statusu enklawy w świecie arabskim. Podobnie w przypadku Polski; nie liczy się nasza zdolność do prześcignięcia Egiptu w rankingach PKB według parytetu siły nabywczej. Prawdziwe znaczenie mają relacja naszego potencjału obronnego do siły Federacji Rosyjskiej i nasz potencjał ekonomiczny w porównaniu z Niemcami.

W innym wymiarze chodzi o wspomniane wyżej atuty w regionie – możliwość posługiwania się w relacjach z Ukrainą czymś więcej niż symbolicznymi słowami i gestami, zdolność wpływania na stanowisko innych członków Unii Europejskiej, także w takich sytuacjach, gdy poparcie polskiego stanowiska nie jest – jak w przypadku postawy Węgier wobec kryzysu ukraińskiego czy sankcji wobec Kremla – zgodne z ich interesami lub jest dla nich obojętne.

Wróćmy zatem do opisu Polski jako kraju, który w najbliższych dekadach będzie oscylował między historycznie uwarunkowanym statusem półperyferyjnym a perspektywą stania się państwem zdolnym do odgrywania istotnej roli w regionie, w części tylko spraw uwikłanym w typowe dla państw półperyferyjnych problemy, a w innych – uczestniczącym w kształtowaniu polityki Zachodu.

Peryferyjna czy w pewnym wymiarze kolonialna pozycja zależnego od Moskwy PRL-u nie budzi wątpliwości. Rok 1989 nie był jednak tylko momentem odzyskania suwerenności, wepchnął nas w inny rodzaj zależności, który objął cały dawny świat posowiecki, z Rosją włącznie. Zależność ta polegała na konieczności przyjęcia tego modelu transformacji, który lansowany był przez Międzynarodowy Fundusz Walutowy i Bank Światowy. Zakładał on dyscyplinę finansową i natychmiastowe wycofanie się państwa z większości gałęzi gospodarki, wymienialność waluty, otwarcie się na obcy kapitał i redukcjonowanie barier handlowych.

Bez uwzględnienia tego czynnika nie można oceniać żadnej z ekip gospodarczych tamtego okresu. Nie istniała wówczas całkowita swoboda wyboru modelu „transformacji”,



możliwe było jedynie określenie pewnych detali – i zaniebdania na tym polu mogą być przedmiotem poważnej krytyki. Polska gospodarka miała się otworzyć na globalny kapitał i jak najszybciej stać się rynkiem, na którym będzie się sprzedawać towary produkowane za granicą. W przypadku AGD czy pewnych sektorów branży spożywczej wywołało to zaburzenie dotychczasowych relacji cenowych i wzorców konsumpcji. Okcydentalizacja zaszła szybciej, niż można się było spodziewać.

Przekształcenia własnościowe dokonywały się według modelu określonego przez trzy elementy: wsparcia dla inwestycji zagranicznych, spółek nomenklaturowych i tak zwanej prywatyzacji w polskie ręce. Piszę „tak zwanej”, bo ten ostatni pomysł okazał się niezwykle zwodniczy, podobnie jak nadzieje związane z prywatyzacją prasy kierowaną wyborem inwestorów spoza Niemiec. Niezwykle ważnym wątkiem prywatyzacji, który dopiero czeka na wnikliwą analizę, jest prywatyzacja banków. Paradoksalnie, wejście do Unii Europejskiej nie ograniczało jedynie naszego pola manewru, tak jak to czynił „dyktat transformacyjny” z lat dziewięćdziesiątych. Warunki akcesji obejmowały wynegocjowane klauzule przejściowe, a środki przekazane Polsce w pierwszej dekadzie po akcesji pozwoliły na rozwiązanie wielu naszych problemów. Ten nowy status, związany z przynależnością do struktur Zachodu, nie ograniczał się jednak do kwestii ekonomicznych, obejmował również relacje polityczne i militarne.

Jeżeli sprawa funkcjonowania amerykańskiej bazy w Szymanach pozostawała w wyłącznej gestii kierownictwa polskich służb specjalnych, to lokujemy je jako pośrednika

gdzieś między służbami amerykańskimi a polskim rządem. Być może było w ich postawie coś z politowania dla uwikłanych w drobne gry polityków, co sprawiło, że tę tak ważną decyzję jedynie w jakiejś formie zakomunikowały rządzącym. Nie sędzę, by oznaczało to brak lojalności wobec własnego państwa, raczej pewne jej „rozrzedzenie” wynikające z przekonania, że władzom nie zależy na skutecznym kontrolowaniu służb, wojska, dyplomacji, ponieważ wybrały „święty spokój” i dobre relacje z możliwymi tego świata. I że ten ich wybór ma charakter strategiczny.

Jednak to nie wybory dokonywane przez elitę nadają peryferyjnemu państwu późnej nowoczesności cech podwójnego agenta, oscylującego między statusem strażnika interesów światowego porządku i reprezentanta wyłącznie własnego interesu narodowego. Co więcej, nie dzieje się to za sprawą Unii Europejskiej, ale pewnej logiki gospodarki globalnej i – w mniejszym stopniu – dominacji militarnej i politycznej Stanów Zjednoczonych. Państwa półperyferyjne są zatem, ze swej natury, w tym samym stopniu mechanizmem chroniącym lokalne interesy co narzędziem ich redukcji i – gdy to konieczne – podporządkowania regułom atlantyckim, europejskim i globalnym. Ta podwójna rola podnosi wymagania merytoryczne wobec polityków, ekspertów i dyplomatów. A skoro tak, to państwo uwikłane w partyjno-klientelistyczny system rekrutacji kadr i redukujące wymagania merytoryczne staje się, na własne życzenie, raczej strażnikiem porządku światowego niż obrońcą interesów lokalnych.

W państwie o rzeczywistych ambicjach redukcji swojej peryferyjności i przesuwania się ku pozycji w centrum

rządzący chcą i mogą powstrzymać aspiracje konsumpcyjne społeczeństwa i przeznaczyć sporą część środków na prowadzenie polityki zagranicznej, modernizację armii, inwestycje infrastrukturalne. Moim zdaniem obecny model rozwojowy nie pozwala nikomu – żadnej władzy – na dokonanie takiego manewru. Przeciwnie, wydatki na konsumpcję będziemy zwiększać kosztem tych, które byłyby inwestycją w status międzynarodowy lub przyszłość.

Gdy słucha się wypowiedzi polityków PiS, można nabrać przekonania, że aby przejść od statusu „kondominium” do statusu ważnego gracza regionalnego, wystarczy mentalnie „wstać z kolan”. Takie stanowisko jest dowodem głębokiej infantylizacji polskiej myśli politycznej i wskazuje na lekceważenie długofalowo budowanych przesłanek siły państwa.

W tle pojawia się jeszcze gorsze przeczucie, że zasoby potrzebne do prowadzenia tej polityki są lekkomyślnie zużywane na potrzeby doraźnych rozgrywek wewnętrznych toczonych między partiami. Po 2015 roku stało się to widoczne w przypadku kwestii zasadniczych dla politycznej wyobraźni prawicy, takich jak przyjmowanie uchodźców czy demagogiczna krytyka „zgniłego Zachodu”, ale także w sprawach, w których mogła się zachować pragmatycznie, jak wycinka Puszczy Białowieskiej czy ostentacyjna odmowa poparcia kandydatury Donalda Tuska na szefa Rady Europejskiej.